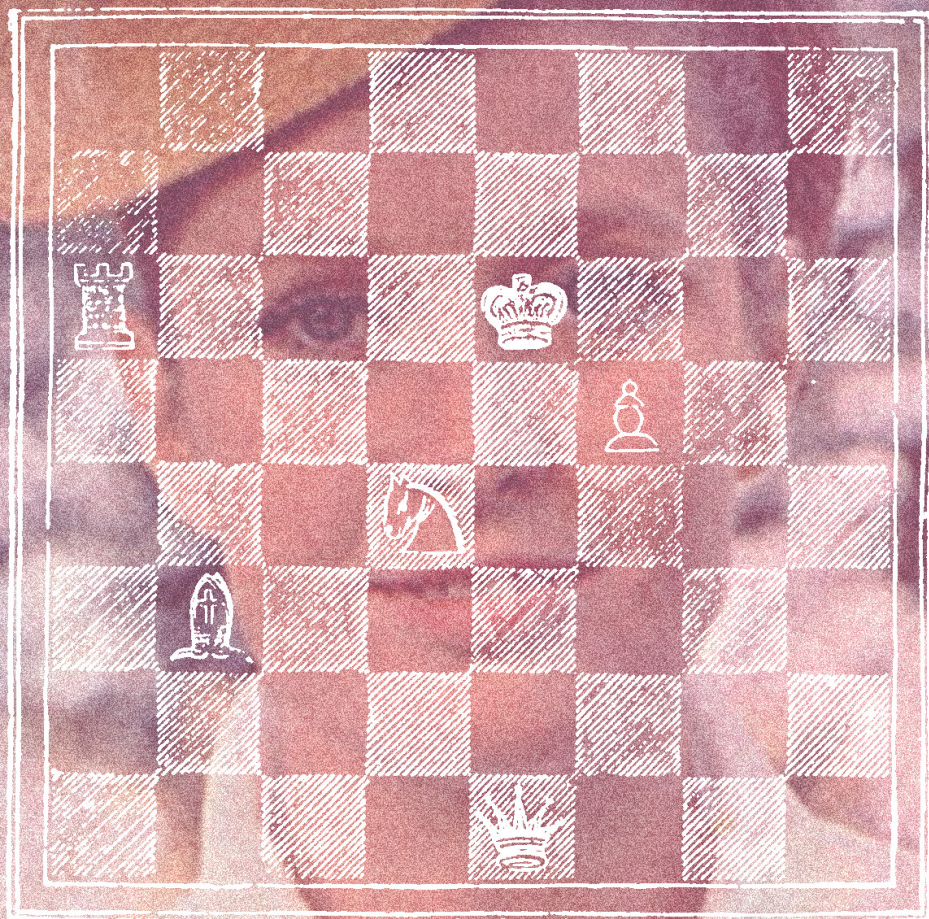
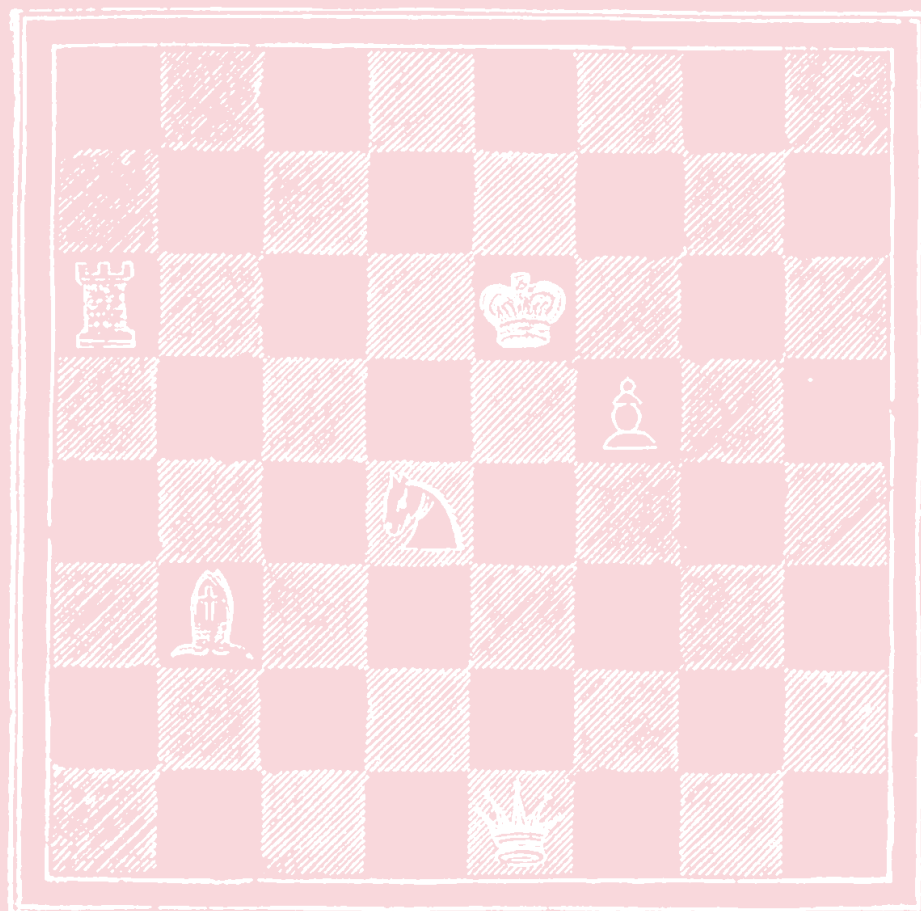


Magazyn Literacki Składka
nr 3/2026 (21)
Lalka/graw pozorów

SKŁADKA



Marcin Salwin, Fuga, Nina Sikorska, Mateusz Kułacz, Olga Anna Barwińska, Szymon Dzieścielewski, Marta Wierzbicka, Marta Różycka, Helena Pyżanowska, Anna Przysada, Zuza Nogal



4	Marcin Salwin Udanego pobytu lub dobrej dalszej podróży Wstęp
6	Fuga ana jak plandeka na...
8	Nina Sikorska Rave'owe buciki (na motywach Czerwonych Bucików Hansa Christiana Andersena)
14	Mateusz Kułacz Notatki Płaszowskiego Berserka (fragment)
26	Olga Anna Barwińska dekrystalizacja
28	Szymon Dzięcielewski den röda ryggsäcken
29	Marta Wierzbicka Corposant
37	Marta Różycka Na liryzm popkultury
38	Helena Pyżanowska To, co bez znaczenia
44	Anna Przysada Heterochromia
46	Zuza Nogal Niewypowiedzialność

Udanego pobytu lub dobrej dalszej podróży

Wstęp

Marcin Salwin

Brief Encounter z 1945 to film piękny, bo to film o pociągu. Przygotowując się do napisania wstępniaka kilka razy przymierzałem się do opisu, który odda sprawiedliwość tej historii, ale w świetle tej konkretnie opowieści najprostsza forma wydaje się najbardziej odpowiednia. Dwie osoby, obie już zobowiązująco związane, zakochują się w sobie na stacji kolejowej. Ten przelotny anturaż służy za niby przypadkowy pretekst do ulotnych spotkań. I to jest tak proste, i tak skomplikowane.

Miłość rozpatrywana jest w kategorii pięknej katastrofy. Czegoś, czego z perspektywy można było przecież uniknąć, czegoś absolutnego, nieodwracalnego. Czegoś, wobec czego nie można nic zrobić. Pociąg jest tutaj wygodnym argumentem. Nieubłagane, regularnie odjeżdżającym statusem quo.

„Obrazy olejne często przedstawiają rzeczy. Rzeczy, które są do nabycia w życiu codziennym. Namalować rzecz na płótnie to trochę tak, jakby ją kupić i umieścić w swoim domu. Kupując obraz, kupuje się również wygląd rzeczy, którą on przedstawia. Ta budowana analogia między posiadaniem a sposobem widzenia (...)” pisze John Berger w *Sposobach widzenia*. Wokulski pod wieloma względami, ale pod względem łaknienia posiadania szczególnie, jest kupcem do szpiku swoich przemarzniętych na Syberii kości. Ktoś podejmujący próby aktualizacji tej historii do czasów nam (2026) współczesnych mógłby powiedzieć o nim *hustler*. Ja jednak apeluję o kurczowe trzymanie się tej *kupieckości* jako fenotypu – bo ta przejmująca kupieckość Wokulskiego jest jego największą cechą definiującą, a co za tym idzie – największym atutem i największym kompleksem.

Jak na mężczyznę tak zakochanego, Wokulski, swoimi ustami, o kochaniu w tekście powieści mówi raptem parę razy – przeważnie z koneksją podskórnie negatywną. W kategorii poczucia winy („Cóż ja robię złego — myślał Wokulski — że się kocham?... Może trochę za późno, ale przez całe życie nie pozwalałem sobie na podobny zbytek”), roszczeniowo („Więc i ona powinna by mnie kochać...”), o miłości jako zwrotnej walucie („Widzę, że odkocham się tu przed końcem obiadu...”) oraz czymś, co odrzuca („I ja mam niby to ją kochać?... Głupstwo! Przez rok cierpiałem na jakąś chorobę mózgową, a zdawało mi się, że jestem zakochany...”). Dlatego pojawia się pytanie – co Wokulski w ogóle ma na myśli, w efemerydzie słowa kochać?

Jego samobójstwa nie doświadczamy in media res – zostajemy skrzątnie przygotowani. *Farewell, Miss Iza*. Wybiega z pociągu w Skierniewicach, ze wszystkich fatalnych wyborów ten wydaje się najmniej fatalny. W polu kładzie się na torach, ale ratuje go dróżnik Wysocki, który, oczywiście, wobec Wokulskiego ma dług wdzięczności na tle finansowym.

W *Brief Encounter* pociąg nadjeżdża. Gęstą parą zasłania czarno-białą wizję ekranu. Nie ma czasu na żadne pożegnanie, co dopiero adekwatne. Poruszona Laura, główna bohaterka, rozważa przez chwilę samobójstwo, ale ostatecznie wraca do swojej rodziny. Mąż wita ją, dziękując, że wróciła.

I na jedno dzień dobry, przypada dwa do widzenia.

ana

Fuga

muszą poszerzyć mi nozdrza
kto mnie tak zrobił?
za wąskie kanały
choć zbiera się zbiera
oddychać nie można
a znowu usta
tyle o ile
milimetr rozwarcia
w otworze gębowym
gips i pomadka
lip plumper
alergia
drogo kosztuje
piękność
z kleju plastiku
oddechowa
lepona
filaksja

łój rozpuszcza się w wodzie
marszczące się ręce
bez warstwy ph i
eliksiru młodości
zostają wyprane tkaniny
napięte wymięte
pory
przez prczkę jej
starymi dłońmi
szeroka rozpiętość twarzy
szwy i
nie wraca do normy
struktura paznokcie
włosy
katowana żelazkiem
bawełna
nie z tego chce być zrobiony
(chce)
elastan i kwas
hialuronowy

jak plan-
deka na...

Fuga

Fuga to 22-letni student psychologii. Od zawsze interesowała się poezją, a w swoich utworach sięga do osobistego doświadczenia neuroróżnorodności. W tekstach lubi poruszać sensoryczne aspekty życia i często rozmyśla o intersekcji queerowości, kobiecości i spektrum autyzmu. Na co dzień zajmuje się badaniami osób neuroróżnorodnych i społecznego funkcjonowania osób z niepełnosprawnością. Publikował już w 19. numerze *Składki*, 16 numerze *Tłenu Literackiego*, *The Poetry Lighthouse* oraz w zinie *Fire i Queer Erotica* (2026) od *Girls and Queers to the Front*. Konto na instagramie: @fuga_szkielna.

Rave'owe buciki (na mo- tywach Czer- wonych Bucików Hansa Christia- na Ander- sena)

Nina Sikorska

Karusia zatrzymuje się na pasach dla pieszych. Coś błyszczy się w słońcu, na sklepowej wystawie. Na białym podeście stoi para czerwonych lakierów. Karusia nie ma dużo pieniędzy, na komórcę mnożą się jej komunikaty z blika: mniej, mniej i mniej na koncie. Jednak nie jest w stanie oderwać wzroku od karminowych obcasów i kwadratowych nosków. Po chwili wychodzi ze sklepu obuwniczego Flores i, postukując, mija trzepaki, śmietniki, przemierza chodniki, trawniki, desire paths, zostawiając dziury tam, gdzie obcas spotkał się z ziemią lub betonem.

– Już po siedemnastej – słyszy od progu. Jej matka siedzi przy stole w prostokątnych okularach i szarym bezrękawniku z golfem mimo upału, sprawdzając kartkówki z 7 darów Ducha Świętego. – Spóźniemy się.

Jest czerwiec, a więc równo o szóstej rozpoczyna się msza z nabożeństwem ku czci Najświętszego Serca Pana Jezusa. W lipcu czekają ją te do Krwi Jezusa, w sierpniu obchody Matki Boskiej Zielnej, Karusia zna to na pamięć.

– Mama, jest czas przecież, zjem tylko i możemy wychodzić.

– Co to ma być? – pyta matka, oczy kierując na stopy Karusi, obcasy zatapiające się w wykładzinę. Jej długopis zawisł nad kartką – pustą, z wyjątkiem imienia i nazwiska ucznia oraz bazgroła przypominającego krucyfiks.

– No, to są buty tylko – mamrocze Karusia, nakładając sobie kotleta, ziemniaki i buraki z półmisków poprzykrywanych folią aluminiową. – Nowe – odkrztusza – znaczy z przeceny, z lumpeksu nawet.

– I gdzie ty w tym będziesz chodzić – takie rozchelstane, całe śródstopie na wierzchu! Co by w kościele powiedzieli! Ani nie chcę o tym myśleć, przebierz je i bez dyskusji.

– Ale mama przecież...

Ale ona unosi blade ramię wystające z szarego golfu i Karusia wie, że to oznacza koniec tematu, że teraz to może sobie najwyżej pomstować w duchu, wymieszać ziemniaki z burakami na jasnoróżową papkę, tak jak to robiły panie w przedszkolu, że może domieszać też do tej brei mięso, tak żeby wszystko stało się razem niejadalne, w geście protestu, bo ma dość takiej rzeczywistości, czuje, że popierdoli ją, jeśli jeszcze jedno popołudnie przesiedzi w tej kuchni bez światła ani koloru na ścianach, za to w dziurawych papciach, i będzie słuchać jak tyka zegar, kiedy w jej duszy wybuchają fajerwerki wściekłości, dzisiaj szczególnie kolorowe od chęci rozszarpania szarego, matczynego golfu gołymi pazurami, których nawet nie wolno jej pomalować bezbarwnym lakierem.

Zamiast tego zostawia nietkniętego mielonego na górze z ziemniaków pływających w złotym tłuszczu, stertę kartkówek, figurę matki skąpaną w cieniu, wchodzi do swojego pokoju i ściąga buty, zostając w samych skarpetkach we wzorek ze smiley face. Na języku rozpuszcza sobie listek LSD, które trzyma na zapas w pudełku z biedronką. Potem gra w przeprowadzanie czerwonej piłeczki przez labirynt na komórcę, aż matka woła ją z sieni. Przygląda czarną spódnicę z drapiącej tkaniny i każe wręczyć sobie lakierki, które wrzuca do zsypu, kiedy czekają na windę.

W ciszy idą chodnikiem, mijają stateczne matrony o dłoniach zaplecionych pod biustami, kwitnie bez i po chwili zaczyna się msza, mienia się kielichy, uniesione dłonie, opłatki. Karusia nie słucha jednak litanii, jej dłonie leżą bezwiednie na ciemnym drewnie ławki. Nie może oderwać wzroku od witraży, przez które prześwieca czerwcowe słońce. Karusia nie jest pewna, czy to promienie, czy magia, ale mogłaby przysiąc, że wszyscy archaniołowie i archanie-lice tańczą specjalnie dla niej, że ruszają dziko kończynami w rytm nakładających się na siebie chóralnych pieśni. Że śmieją się do niej zębami równymi, choć zakończonymi nieco ostro. Przeciera oczy, żeby upewnić się, że dobrze widzi – ale tak – na ich świętych stopach fluoryzują czerwone lakierki.

Karusia słyszy na zmianę *Serce Jezusa* i *Baranku Boży* – prawdziwy modlitewny remix – a w międzyczasie wszyscy aniołowie schodzą z witraży, tłoczą się wokół bocznej nawy i znikają za aksamitną kotarą.

- Słabo mi, mama – szepcze do matki Karusia.
- Dziecko, co ty, jesteś biała jak prześcieradło, jak jakaś pusta kartka – odszeptuje matka oskarżycielsko. – Jezus na ciebie patrzy.
- No tak, ale co robić, kiedy mi słabo, mam chyba chorobę... Mam wiele chorób...
- Co ty znowu wygadujesz?
- Powietrza, muszę wyjść na chwilę – mówi Karusia i zakrywa usta ręką, symulując mdłości.

Wtedy matka odsuwa się jak oparzona, bo takiego skandalu by nie zniosła – wymiocin córki na konsekrowanej posadzce. Karusia ogląda się przez ramię, żeby sprawdzić, czy matka ponownie

utkwiała wzrok w ołtarzu, i kieruje się do kaplicy, do której udali się aniołowie. Nie rozczarowuje się – w jej zacisznej przestrzeni, zaraz obok kwiatów i świeczek z intencją po pięć złotych sztuka, stoi para czerwonych bucików.

- Weź je, Karusiu – mówi do niej jeden z aniołów. – Tak smutno było nam patrzeć, jak twoje nowe buty szybują w dół rurą zsypu i lądują na stercie gnijących pluszaków i gałek od kaloryferów. Uratowaliśmy je dla ciebie – spójrz, jakie to piękne obcasy, jakie twarzowe mają noski. Załóż je i zatańcz z nami, zasłużyłaś na to.

Karusia nie pamięta, kiedy ostatnio była tak szczęśliwa. Buty zdają się mruczeć wokół jej kostek jak słodkie kotki, które widuje się na memach. Pasują idealnie i niosą ją w przestrzeń, transformując całe jej ciało, tak zwykle spięte, niechętne, zamknięte. Teraz jej łopatki rozluźniają się, a klatka piersiowa rozkwita w stronę świata, nagle Karusia ma mu wiele do zaoferowania. Ni stąd, ni zowąd czuje się piękna i wie, że świat uważa ją za piękną, mimo ohydnej, brązowej bluzki, którą kazała jej włożyć matka. Ta bluzka nie jest jednak ważna, staje się nagle przezroczysta, wyrastają na niej cekiny i wielkie, haftowane róże. Aniołowie kręcą biodrami, Karusia wsuwa sobie pod język ectasy, które nosi czasem w kieszeni, a witraże pulsują w rytm słońca, które też kocha Karusię – a ona kocha słońce. Musi wyjść na zewnątrz, aby połączyć się z jego promykami – może promyki też mają ochotę na taniec, w końcu nie ma na świecie istot szybszych i bardziej gibkich niż właśnie one. Mocno bije serce Karusi, od upału, od szaleńczego wysiłku, od pięknych twarzy anielskich, w których dziewczyna zdążyła się już zakochać, bo nigdy nie widziała ani na ulicy, ani w szkole tak regularnych

rysów, takich układów kości i włosów, takich błysków w oczach. Niesie ją trawa, niesie ją chodnik, jedno osiedle ze swoimi warzywniakami i kioskami, kolejne, potem jeszcze jedno. Patrzy na blokowiska i marzy o tym, by nigdy się już nie zatrzymywać, bo przerwa to byłby dla niej koniec, zamarzlaby, rozsypując się na kawałki.

Równocześnie jednak jakiś cichy głos podpowiada, że jej ciało jest na granicy wyczerpania, że jeszcze chwila i zatrzymają się funkcje życiowe, jeszcze chwila, a Karusia umrze. Takie zdania formują się w jej głowie i choć nie wypowiada ich na głos, anioły wszystkiego się dowiadują, bowiem potrafią one czytać w myślach.

– Och, Karusiu, czym jest śmierć, przecież to nic strasznego, nic straszniejszego od twojego życia, od wegetowania pod kluczem, od czekania aż matka pójdzie do znajomej katechetki na piątym piętrze, żeby móc odetchnąć i pomalować oczy czarną kredką; od tego, że każdy twój ruch jest nie taki, a każda myśl zasługuje na karę. Wszystko jest lepsze od Prince Pola schowanego pod poduszką w wielki post i zjedzonego pod kołdrą, żeby nie słyszeć było chrupania; od spotkań do bierzmowania, na których omawialiście randki i ksiądz powiedział, że kobiety muszą pamiętać, że bóg dał im dwoje uszu, a tylko jedno usta nie bez powodu – żeby więcej słuchać i mniej mówić, pamiętasz? A matka przytaknęła na to, kiedy wróciłaś do domu i wszystko jej opowiedziałaś. Każdy twój pocałunek naznaczony był piekłem – chłopak ze szkoły, dziewczyna, którą poznałaś na wycieczce do muzeum w Dąbrowie Górniczej... Od tego wszystkiego uwierzyłaś, że nie zasługujesz na radość, że nie zasługujesz, żeby ktoś cię kochał, prawda? Więc sama powiedz, Karusiu. – Anioł obraca się z gracją, z rękami ułożonymi w łuk, a pęd po-

wietrza rozwiewa jego połyskujące szaty. – Czy śmierć nie byłaby w tym wypadku piękna? Czy nie byłoby pięknie umrzeć w twoich pięknie czerwonych butach, wśród pięknych twarzy, właśnie tu, nad rzeką i w promieniach słońca?

– Pięknie – szepcze Karusia, wpatrując się w wodę zanieczyszczoną odpadami z fabryk, w której pływają liście i nieliczne, silne ryby. – Umrzeć sobie w pełnym rozkwicie. – Więc tańcz dalej, Karusiu, podnoś kurz z tej sztucznej ziemi i ze sztucznego świata, który nic ci nie oferuje, jedynie smutek, jedynie bezbarwność i ukłucie niepokoju, które waży więcej niż twoje serce – mówi anielica.

Karusia wiruje więc dalej, trochę szybciej niż wcześniej, czuje, że staje się tak dzika, jak otaczające ją niewypielęgowane krzaki. Nie zauważa nadrzecznego szlamu, który rozciągnął się plamą wzdłuż brzegu. Obcasy ślizgają się, a dziewczyna wymachuje rękami w desperacji, próbując złapać się wijącego się wokół sitowia. Rozlega się plusk – ciało Karusi uderza w taflę. Z nóg zsuwają się jej ukochane lakierki. Jak dwa czerwone akcenty, płyną obok niej. Woda zniekształca obraz jej ciała, niektóre części powiększając, inne zmniejszając, i przesuwając nieregularnie wobec całości. Wokół bioder topi się tweed spódnicy i marcepan, który Karusia ukrywała w kieszeni.

Natomiast aniołowie, stojący po obu stronach rzeki, zgodnie stwierdzają, że Karusia prezentuje się pięknie, pod wodą. Że właściwie przypomina teraz najpiękniejszy witraż, jaki kiedykolwiek widzieli. Taki, którego nie powstydzilyby się kaplice w Krakowie, a nawet, dlaczego nie, w samej Francji.

Nina Sikorska – urodzona w 2001 roku w Bielsku-Białej, absolwentka kierunku animacja na Uniwersytecie Artystycznym im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu. Píše, ilustruje i reżyseruje filmy animowane. Jej teksty ukazały się w kilku numerach magazynu *Zakład i Składka*, a ilustracje na łamach zina *Girls and Queers to the Front* oraz *Po Godzinach*. W swojej twórczości eksploruje zagadnienia kampu, cyber-baśni, polskości i teatralności. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @nelsikoreska.

Notatki Płaszow- skiego Berserka (frag- ment)

Mateusz Kułacz

PROLOG

Kiedy byłem niemowlakiem, mój ojciec odciął mi palec.
Był rzeźnikiem. Matka – nauczycielką francuskiego.
Pierwsze słowo, jakie powiedziałem, brzmiało *sektor*.
Wyszeptałem je z nordyckim akcentem, jakby ktoś wsunął mi do ust
język północy, którym można było ciąć.
Między nimi – rzeźnią i ogrodem – rozpięte było moje dzieciństwo.
Ojciec miał w rękach mięso i metal, matka – ziemię i słowa.
On uczył mnie kroić.
Ona – sadzić.
Każde z nich na swój sposób wierzyło w życie po śmierci:
on w formie kielbasy, ona w formie nasion.
Kiedy karmiono mnie piersią, czułem szczęście – ale od początku
byłem dzieckiem dwóch sprzecznych światów.
Rzeźnicki stół i ogrodowy stół.
Ziemia i krew.
Modlitwa i nóż.
Matka wyrywała chwasty. Ojciec wyrywał flaki.
A ja leżałem pomiędzy – w łódeczku ustawionym w rogu rzeźni,
obok haków, połyskujących jak gwiazdy z innego układu nerwowego.
Dziś nazwano by to patologią.
W post-PRL-owskiej Polsce uchodziło to za osobliwą formę opieki
nad nowym mieszkańcem planety Ziemia.
Nie mogłem narzekać.
Miałem wszystko, czego potrzebowałem:
pluszowego misia, zakręcone koraliki i odór zakrwawionej zwierz-
ny, który pachniał jak miłość.
Tamtego dnia matka miała korepetycje, więc zostałem z ojcem.

Łódeczko stało obok stołu.
Nad moją głową wisiały noże – ciężkie, błyszczące, spokojne.
Czasem myślę, że od tamtej pory wszystko, co nade mną wisi,
nazywam losem.
Zamachnął się nożem.
Ja wychyliłem się z ciekawości.
I wtedy – ciach.
Wrzasnąłem głośniejsze niż na sali porodowej.
Dopiero po chwili zrozumiał, że uciął mi mały palec u lewej dłoni.
Każde inne niemowlę zaciskałoby w tym momencie pięść wokół
palca ojca.
Ja – miałem o jeden mniej.
Ale nie na długo.
Ku zdumieniu rodziców, palec odrósł.
Nikt nie wiedział dlaczego.
Lekarze mówili o blastemie – tkance, która przypomina sobie, co
miała kiedyś znaczyć. Komórki, które nie wiedzą jeszcze, czy staną
się mięśniem, nerwem czy skórą. Wiedzą tylko, że muszą naprawić
świat.
Medycyna opisuje to chłodno.
Ja wolę wierzyć, że ciało pamięta o nas lepiej niż my sami.
Że moje pierwsze wspomnienie to nie ból – tylko to, że mogłem
narodzić się ponownie. Od czubka palca.

MEWA NA PLANTACH

To był zwykły dzień w Krakowie.

Księża pośredniczyli Bogu w odpuszczaniu grzechów, a gołębie srały na lśniące samochody certyfikowanych psychoterapeutów.

Siedziałem na Plantach z kacem, jak zwykle.

Stężenie etanolu we krwi wynosiło jakieś 1,2‰, co w połączeniu z innymi substancjami wystarczało, żeby mózg generował chore fantazje.

Palilem skręta i czytałem Tomasza z Akwinu na ławce identycznej jak wszystkie inne, obok skweru Andrzeja Wajdy.

Wszystko było zielone – drzewa, ławki i marihuana.

Pod Teatrem Słowackiego żule recytowali poezję. Nie wiedziałem, po co to robią.

Może liczyli na ekskluzywny banknot od przechodnia, a może uzurpowali sobie prawo do kultury wysokiej, skoro koczowali w cieniu teatru.

Każdego wieczoru przyjeżdżał tam samochód z wolontariuszami, rozdawali im koce i coś do jedzenia.

Między nimi pałętał się fundraiser – chłopak w moim wieku, z puszką monet *na chore dzieci*. Wyglądał bardziej na kogoś, kto sam potrzebował pomocy.

Ale na moją dobroć nie mógł liczyć.

Za każdym razem, gdy przechodził, odrywałem guzik z płaszczob-luzonu i wrzucałem mu do puszeki.

– Na szczęście – mówiłem z uśmiechem.

– Żarty sobie robisz? Wrzucaj monety jak wszyscy – odpowiadał.

Patrzył na mnie chwilę za długo.

Jakby chciał sprawdzić, czy naprawdę jestem aż tak pusty, czy tylko udaję.

Odwrociłem wzrok.

I wtedy ją zobaczyłem.

Na Planty przyleciała mewa.

Usiadła na gałęzi i patrzyła na mnie spokojnie, jakby wcale nie była gościem z wybrzeża, tylko częścią tego miasta.

Patrzyłem i nie wiedziałem, czy to kac, faza po dragach, czy może coś zupełnie innego.

Czułem się jak dziecko, któremu na chwilę dane było zobaczyć Anioła.

Może to był tylko ptak. Może przywidzenie.

Ale w tamtym momencie była w tym czułość, której od dawna nie czułem.

Nie ruszałem się.

Jakby najmniejszy ruch miał ją spłoszyć i przywrócić wszystko do normy.

– Dowodzik od pana, proszę.

Podniosłem wzrok. Dwóch strażników miejskich stało nade mną.

Spojrzeli na mnie jak na przybysza z innej atmosfery.

Zaciągnąłem się ziołem.

– Czy słyszeli panowie o Odwroconym podziemiu Wisły? – zapyta-łem.

Wymienili spojrzenia.

Przez chwilę nikt się nie odezwał.

Wypuściłem dym z wilgotnych ust prosto na ich obłe twarze.

(WIDZENIE SYNTETYCZNE)

W tym samym czasie w krakowskich podziemiach robotnicy kładli pierwsze tory metra.

Szef projektu poplamiał kawą plany budowy, a plama przypominała mapę Krakowa.

Nikt jej nie zmył.

Jakby miasto samo wylało się ze swoich granic.

MUZEUM JAPOŃSKIE

Noc była już zużyta.

Natalia zabrała mnie do Muzeum Sztuki Japońskiej po drugiej stronie Wisły, naprzeciwko Wawelu.

Niewiele o nim wiedziałem – jedynie, że Wajda lubił to miejsce.

Weszliśmy.

Pachniało kurzem, ryżowym papierem i lakierem z innej epoki.

Przy wejściu stał chłopak w moim wieku, wpatrzony w wielki obraz japońskiej rodziny z XVI wieku.

– Cześć, ile zarabiasz za godzinę? – zapytałem.

– Najmniej.

– Szukacie kogoś do pracy?

– Zależy jako kto.

– Jako gość, który pilnuje i patrzy sobie na walczących samurajów.

– Zapytaj na recepcji. Z tobą mogę co najwyżej wyjść na piwo.

Zaśmialiśmy się.

Miał w sobie coś rozbrajającego – tę bezbronność ludzi, którzy dawno już pojęli, że wszystko to fikcja.

Opowiadał o obrazach, rodzinach samurajów, rytuałach czystości i cienia.

Szaty. Miecze. Portrety.

Zwyczajność, która w swojej precyzji była doskonalsza niż nasze życie.

U nas nawet katastrofy wyglądają jak prowizorka.

Najbardziej uderzył mnie obraz stojący z tyłu sali, zawieszony na skrzyconej ścianie.

Nie wisiał jak inne.

Można było w niego wejść.

Zrobiłem krok.
I byłem w środku.
Między zwojami malowidła przedstawiającego bitwę: ogień, włócznie, końskie pyski, szum krwi.
W tej ciszy muzeum poczułem, jak przebija mnie włócznia – metaforycznie, ale boleśnie prawdziwie.
Natalia stała obok.
Nic nie mówiła.
Patrzyła na mnie w ten swój sposób – jakby widziała jednocześnie klęskę i zachwyt.
Z jej oczu i warg można było wyczytać wszystko, co milczała.
Wyszliśmy stamtąd jak z pobojowiska.
Nie byliśmy brudni z krwi, tylko z wzajemnych oczekiwań.
Z wszystkiego, czego nie potrafiliśmy sobie powiedzieć.
(WIDZENIE SYNTETYCZNE)
W innym porządku czasu, daleko stąd, w roku 1945 dwa amerykańskie samoloty zrzuciły bomby na Hiroszimę i Nagasaki.
W kilka sekund zginęło ponad sto czterdzieści tysięcy ludzi.
Temperatura wzrosła do czterech tysięcy stopni.
Cienie ludzi wypaliły się na murach.
Porcelanowe figurki topniały szybciej niż strach.
Światło zamieniło się w dźwięk.
Dźwięk w ciszę.
Cisza w modlitwę, której nikt już nie usłyszał.
A później Japończycy zaczęli robić to, co robią ludzie po końcu świata.
Rysować.

ORANGE FUCKED-UP FOX [Kopenhaga, godzina 3:29]

Weszliśmy do klubu o nazwie Orange Fucked-Up Fox.
Lis o dwóch ogonach świecił na neonie nad wejściem, a obok ktoś nakleił Jana Pawła II z napisem:
JP2 fucked-up too.
Zanim barman zdążył cokolwiek powiedzieć, Sambor uniósł dwa palce i zamówił drinki o nazwie, której nikt z nas nie potrafił powtórzyć.
Wcześniej żarliśmy burgery w McDonalddie – nowy zestaw z rękawiczką.
Natalia śmiała się, że to „europorcja”.
Ja twierdziłem, że to północny kapitalizm w sosie barbecue.
Sambor napił się i powiedział:
– Powinno się kastrować lisy dla dobra ogółu.
Nic nie odpowiedzieliśmy.
Wiedzieliśmy, że to jego epizody synkretyczne – językowe zwarcie, w którym sens ulega rekombinacji.
Światła były pomarańczowe i niebieskie.
Na ścianach tańczyły lisy – projektory rzucały ich sylwetki, jakby cała sala miała jeden wspólny oddech.
Nad barem wisiała tabliczka:
DON'T TRUST THE FOX.
Ciepły bas unosił się jak dym z kadzidła.
Natalia i Sambor poruszali się synchronicznie, zszytych jednym rytmem.
Ja tańczyłem osobno – w ciszy, we własnym pulsie.

W kącie klubu dziewczyna w srebrnej kurtce płakała, a w jej łzach odbijały się światła jak łuski ryb.
Natalia i Sambor zniknęli w tłumie.
Czasem ich sylwetki przecinały się w stroboskopie – jakby los sprawdzał, czy potrafi ich jeszcze rozdzielić.
Zamówiłem Carlsberga.
Wypiłem dwa pod rząd.
Podłoga z desek drżała razem ze mną.
Kiedy wrócili do baru, Sambor wcisnął mi w dłoń małą torebkę.
– Dobrze na rozruch.
– To grzyby? – spytałem.
– Zobaczysz. *Born in Christiania*.
Poszedłem do kibla.
Śmierdziało plastikiem i sprayem do włosów.
Grzybki były w sreberku, jakby ktoś chciał nadać im godność.
Połknąłem je z wodą — tak bezmyślnie, jak dziecko hostię.
Wróciłem na parkiet.
Wtedy wszystko zaczęło się rozjeżdżać.
Lisy tańczyły w rytm własnych trzewi.
Były wszędzie – na ścianach, barze, podłodze, w mojej głowie.
I wtedy pojawiła się policja.
Światła zamigotały białoczerwono.
Klub wyglądał jak flaga na dopalaczach.
Duńscy studenci wskoczyli na stoły, wrzeszcząc coś jak hymn wikingów.
Policjanci ściągali ich brutalnie na ziemię.
Zanim do mnie dotarli, zrobiłem susa do łazienki – lepiej niż niejedem lis.

Zamknąłem się w kabinie.
Słyszałem krzyki, szarpanie, rozbijane szkło.
Ktoś ryknął.
Ktoś zawył.
Ktoś się modlił.
Policjant roztrzaskał coś obok jednym uderzeniem ciężkiego buta – ceramika pękła jak skorupa jajka.
Coś się wylało, coś się rozsypało.
Papierki.
Mokre śmieci.
Smród.
Resztę dopowiedziała mi głowa.
Byłem po drugiej stronie Bałtyku, w zaszczanym kiblu, bez strategii i bez Boga.
Podniosłem głowę.
Na drzwiach kabiny wisiała naklejka.
Jan Paweł II – z papierosem i aureolą z piwa.
Uśmiechnąłem się.
I wtedy ktoś zapukał.
Najpierw lekko, potem mocniej.
– Politi!
Połknąłem resztę grzybów.
Wszystko zaczęło drzeć.
Sufit otworzył się jak usta Boga.
Papież z naklejki uniósł dwa palce w błogosławieństwie.
Miał ten sam wyraz twarzy co na pomnikach – łagodny i trochę zmęczony, jakby widział już wszystko, nawet mnie w tym kiblu.
– Nie tęskno ci za Płaszowem, chłopcze? – zapytał JP2.

– Jak cholera.
– To posłuchaj: duńskie psy nie mają litości dla krakowskich wikin-
gów!
– Co mam robić?!
– Uciekaj! Spierdalaj stąd, już! Na Jasną Górę! Pogadamy później!
Byłem synem marnotrawnym, słuchającym audiencji w kiblu ska-
żonym nadmiarem ludzkości.
Drzwi pękły.
Policjanci wpadli do środka.
A mnie już nie było.
Rozpłynąłem się.
Na drzwiach został tylko uśmiechnięty papież Polak z aureolą
z piwa.

JASNA GÓRA [Częstochowa, godzina 3:47]

Trampki miałem całe w śniegu.
Nos wciąż czuł świeżość kopenhaskiego powietrza i zgniłość rybie-
go mięsa, ale nogi stały już na Jasnej Górze.
Przed głównym budynkiem widniały rzędy krzesełek.
Między nimi a ołtarzem ciągnęła się scena, ośnieżona i pusta.
W ostatnim rzędzie klęczała babcia.
Śnieg prószył z góry.
Wyglądało to tak, jakby nawet największy wiatr nie był w stanie
poruszyć ciężaru jej modlitw.
Podszedłem.
Spojrzała na mnie jak na ludzką wywłokę – wzrokiem wyćwiczo-
nym przez lata różańców, procesji i dobrze opanowanego milcze-
nia.
– O co się modli? – zapytałem.
– O zdrowie psychiczne młodzieży polskiej – wymruczała zza ści-
śniętych od zimna warg, szorstko przesuwając paciorki.
– Mogę pomodlić się obok?
Kiwnęła głową. Uklęknałem.
Spojrzałem w niebo – tej nocy bezgwiezdne, ciężkie jak oczy przed
zaśnięciem.
Modliłem się o coś innego:

Mateusz Kułacz – student pierwszego roku sztuki pisania na Uniwersytecie Śląskim.
Uczestnik *Pracowni przed debiutem prozą* na festiwalu TransPort Literacki Biura Literackiego
(2026), prowadzonej przez Katarzynę Szaulińską. Pracuje nad debiutancką książką *Notatki
Płaszowskiego Berserka*.

dekrysta- lizacja

Olga Anna
Barwińska

1

Odkąd na powiekach namalowałaś sobie tęczę i żrenice, bezkarnie przesypiasz większość dnia. Leżysz na materacu i starasz się wykonywać jak najmniej ruchów, bo materac jest krzywy i bardzo łatwo stoczyć się do dziury. Musiały się wydarzyć naprawdę straszne rzeczy, żeby doprowadzić go do takiego stanu, ale oficjalnie nic o tym nie wiesz, więc po prostu skupiasz się na tym, żeby nie wpaść do dziury. Jeśli wpadniesz do dziury, to trzeba cię będzie wyjąć.

Po wielu tygodniach uważnej obserwacji, naciągania, wygładzania i wypowiadania nad nią oczekiwań (wyraźnie, sylaba po sylabie), twoja skóra osiąga status aksamitnej. Kremowy welur szybko okazuje się bardzo atrakcyjny dla moli, dotychczas zadowolających się zasłoną, której więcej już nie było niż było. Musisz się jakoś się bronić. Moczysz włosy w utleniającym roztworze tak długo, aż zmieniają się w cienkie, srebrzyste nitki, przypominające pajęczyny. Chemical warfare. Po kilku dniach na twojej głowie zamieszkuje kątnik, próbujący utkać z nich sieć. Stajesz się polem międzygatunkowej bitwy, porcelanową szachownicą. Znowu możesz spać spokojnie.

Ostatnio do porannej kawy wlałaś sobie kilka kropel formaliny. Podobno jest toksyczna, ale nie zauważyłaś u siebie żadnych negatywnych skutków. Tamtego dnia na zdjęciach wyglądałaś nawet nieco żywiej.

2

Zakochujesz się w kimś, kto jest zakochany w reszcie świata. I wiesz, że nie masz wyboru, musisz stać się częścią tego świata.

Zaczynasz szukać porad w kolorowych magazynach (nigdy wcześniej cię nie zawiodły), ale szybko orientujesz się, że nieprzebrany wolumen tekstu nie zawiera żadnej informacji, która jest teraz dla ciebie użyteczna. Autorkami kolumn są inne lalki.

Z dokumentów przyrodniczych dowiadujesz się, że większość organizmów działa według instynktu. Bardzo podoba ci się myśl, że w zasadzie to wiesz wszystko, czego potrzebujesz wiedzieć, żeby poruszać się po tej ziemi, ale kolejna noc spędzona na bezskutecznej próbie usłyszenia TEGO głosu sprawia, że zaczynasz wątpić. Natura nie przewiduje, a więc i nie dysponuje mechanizmem awaryjnym na wypadek odwrócenia się od niej. Odrzucenie instynktu to świętokradztwo, a za to są kary. Córką marnotrawna do domu może wrócić najwyżej oknem.

3

Jesteś rzeczą, która czegoś – kogoś – pragnie. To pragnienie jest kamieniem węgielnym i katalizatorem w mozolnym procesie formowania twojego nowego kształtu, syntezy materii organicznej pod twoim szyldem. Możesz się od niego odbić, jak od wielkiej trampoliny.

Kiedy jest zbyt gorąco, przewracasz się z boku na bok i nie możesz zasnąć. Dalej nie słyszysz głosu wszechświata, ale poza skrzypieniem materaca towarzyszy ci w nocy echo własnego pulsu. Z zamkniętymi oczami jesteś w stanie narysować kontur swojego ciała. Przechodzisz okres emulgacyjny. Równolegle zachodzą procesy zagęszczania i upłynniania. Skórę masz grubszą i pokrytą śladami po ugryzieniach komarów. Zapach twojej krwi jest dla nich atrakcyjny.

Olga Anna Barwińska – urodzona w roku 2005, od kilku lat praktykująca Wrocławianka. Chce (jak najbardziej się da) zbliżyć się do celu obejrzenia wszystkich filmów na świecie. Koneserka amerykańskich opowiadań. Píše w myśl zasady *muszę, bo się uduszę*.

den röda rygg- säcken

Szymon
Dzięcielewski

od momentu gdy
odwiedził mnie we śnie
dopatruję się go
tu i tam
drapie ciało migdałowate
przypomina o sobie
jak gdybym miał zapomnieć
jak owczarek nauczony
reagować na najmniejszy ruch
w runie i podszycie
niby mało tu zieleni
ale czerwień miga regularnie
między bramami kamienic
będącymi siedzibą spółki
import export
albo gdzieś na skraju wzroku
kiedy po potknięciu na bruku
szukam świadków
najgorzej dla oczu
jest wśród tych kilometrów
książek bo zmuszone
(nauczone) są skakać
w metrum trzy ósme

Szymon Dzięcielewski (ur. 2003) – Gdańszczanin, studiuje i pracuje w Warszawie.

Kochał się w gęstości mojego ciała, nieświadomy, że gdyby ustawił je pod światło, byłoby niemal przezroczyste. Tamtego wieczoru czesał moje nienaturalnie ciężkie, lśniące i zawsze słodko pachnące włosy. Jego palce przesuwały się po misternym oszustwie, którego najmniejszych szwów nie potrafił dostrzec. Siedziałam nieruchomo na rzeźbionym z kości słoniowej stołku, jak posąg. Pozwoliłam mu wpinać w złote loki bogato zdobione spinki i udawałam, że oddycham. Unosiłam i opuszczałam ramiona w miarowym, wyuczonym rytmie, choć moje piersi nie potrzebowały powietrza.

W dole, za grubymi murami wieży roztaczał się monotonny ryk długiej wojny. Nic już nie potrafiło zagłuszyć szczęku metalowych zbroi i krzyków mężczyzn uginających się pod ciężarem włóczni. Wszyscy, od najwyższych rangą wodzów zaczynając, a kończąc na chłopcach wyrwanych z objęć zdruzgotanych matek, oni wszyscy przelewali krew za imię, które nosiłam jak pożyczoną szmatę.

Parys przyłożył ucho do mojego mostka, przymykając oczy. Wiedziała, że owszem, słyszy bicie serca, ale moje puste, utkane z chmur i boskiego gniewu wnętrze nie miało tętna, odbijało jedynie gorączkowe, śmiertelne uderzenia jego własnej krwi. Z zamkniętymi oczami wyglądał jak młody chłopak. Często zastanawiałam się, jak to możliwe, że niczego się nie domyślił. Zdumiewała mnie ślepotą mężczyzn patrzących na obiekt, który rozpaczliwie chcieliby posiąść. Otaczali mnie najmądrzejsi z mądrych, ale żaden z wojowników, kapłanów badających wnętrzności ptaków, czy starców obserwujących mnie lubieżnie znad Bramy Skajskiej, nie zadał sobie trudu, by mi się dokładniej przyjrzeć. Nie zauważali, że nigdy nie mrużę oczu patrząc pod słońce, a na mojej gładkiej,

Corpo- sant

Marta Wierzbicka

pozbawionej włosów skórze, nawet w najnieznośniejszym upale nie pojawiają się kropelki potu. Ich pycha utkała wokół mnie pancierz, jak się zdawało, nie do przebicia. Obydwie strony wołały rzucać pokolenia swoich synów w ogień, niż dopuścić do siebie myśl, że być może nie są pewni, za co walczą. Wiedziałam, co o mnie mówiono. Czy jednak o mnie? Czy o tej, na podobieństwo której mnie stworzono? Jestem wytworem, zbiorem znaków i elementów, które naśladują istotę ludzką, ale nią nie są, nie powinnam więc analizować swojej egzystencji. Odczuwałam jednak coś, co przypominało cierpienie. Za każdym razem, gdy Parys odchodził, a cisza wokół mnie stawała się tak głęboka, że słyszałam szum własnych, nieistniejących przecież chmurnych żył, zadawałam sobie pytanie: kim jestem? Ta druga, prawdziwa, miała imię, które coś znaczy, moje to tylko nazwa fizycznego zjawiska.

W pierwszych latach istnienia nie czułam potrzeby posiadania wspomnień, ale im dłużej trwały walki, tym bardziej bezsensowna się czułam. Nie miałam przeszłości, pamiętałam jedynie koszmar wybudzenia w obcym ciele, zaprogramowanym, by uwodzić. Rozpознаwałam w ustach posmak oliwek jedzonych podczas biesiad w Sparcie, ale czy to był mój smak, czy kolejny element wszczepiony w mą tkankę przez Herę? Tak, bym nie zapomniała o swej roli? Kiedyś byłam obojętna na rzeź pod murami, puszczałam mimo uszu ryk napierających z obu stron wojowników, rozdzierający płacz dzieci i zrezygnowane krzyki o pomoc gwałconych kobiet. Teraz budził się we mnie mdły, duszący żal i przerażenie: to wszystko przeze mnie? Czy jednak przez tę drugą, prawdziwą? A może, pocieszałam się w najgorszych chwilach, może żadna z nas nie leży u źródła? To

chyba niemożliwe, by tyle lat bić się o kobietę? Gdyby tylko znali prawdę... Bogowie obiecali mi, że nie będę mieć myśli innych niż te, które wgrano w chmurze, ale Hera nienawidziła Heleny, więc dlaczego miałaby być miłosierna wobec mnie? Czy byłabym w stanie odróżnić własne ja? Gdybym wykrzyczała moje prawdziwe, własne imię, Nefele, wiatr natychmiast rozniósłby je po placu boju jako bezsensowny szum, ginący wśród innych dźwięków. Byłam nikim.

Parys wybudził się z drzemki. Po jego czole spływały krople potu.

– Coś strasznego się stało – powiedział cicho. Trwał chwilę w bezruchu, jakby czekał, aż coś powiem, ale ja chciałam, żeby odszedł. Spojrzał na mnie z niepokojem. Wyszedł.

Zostałam sama. Wciąż słyszałam krzyki, odgłosy trwającej latami wojny. Podniosłam się ze stołka i podeszłam do lustra. Rejestrowałam odbicie, choć wydawało mi się rozmyte. Zapraǳełam zapłakać nad losem umierających i tych, którzy przetrwają, ale z moich oczu nie płynęły łzy. Zamiast tego, źrenice na ułamek sekundy białły, przypominając malutkie kłęby burzowych chmur.

Nagle, bez pukania, do mojej komnaty wszedł Hektor. Bałam się na niego spojrzeć, ale jego oczy wytrwale szukały moich. Musiałam się im poddać. Całą twarz miał we krwi, w walce rozcięto mu policzek i skórę nad prawą brwią. Patrzył na mnie z nienawiścią tak żywą, że odczułam strach. Śmierdział błotem i krwią. Nie wiedziałam, co tutaj robi i czego ode mnie oczekuje. Czy mam opatrzyć jego rany? Nie posiadałam żadnej wiedzy na ten temat. Czy może przyszedł po Parysa? Nie chciałam milczeć zbyt długo i już miałam coś powiedzieć, gdy mnie ubiegł.

– Pani – rozpoczął uprzejmie – zginęło już tak wielu synów trojańskiej ziemi, ja sam ledwo stoję na nogach. Jak długo jeszcze będzie trwała ta wojna?

Nie wiedziałam, co mu powiedzieć, analizowałam możliwości, ale zdawałam sobie sprawę z tego, że moja odpowiedź musi być wyważona, balansować na granicy narzuconego mi boskiego skryptu i budzącego się we mnie tragicznego współczucia. Ku swojemu zdziwieniu, zamiast odpowiedzi godnej Heleny, wyrzuciłam z siebie mechanicznie:

– Świetnie postawione pytanie, jednak nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi.

W szoku i jednoczesnym zażenowaniu zakryłam dłonią usta. Hektor spojrzał na mnie bez zrozumienia.

– Rozwiń to, jeśli możesz, łaskawa pani.

Komenda rozwiń wywołała we mnie natychmiastową reakcję. Zanim jednak wypuściłam z siebie potok słów, zdołałam przybrać wyraz twarzy i brzmienie głosu Heleny.

– Pytasz o czas, Hektorze, jakby bogowie mierzyli go tak samo jak ludzie. Wojna będzie trwała tak długo, jak wy i oni, tam, na plaży, będziecie czuć potrzebę, by we mnie wierzyć.

Powiedziawszy to, skłoniłam lekko głowę, nie mogąc znieść jego spojrzenia. Nie musiałam na niego patrzeć, by wiedzieć, że tracił cierpliwość.

– O czym ty mówisz? Wierzyć w ciebie!

Zrobił krok do przodu, a przecież nikt nigdy, poza Parysem, się do mnie nie zbliżał. Nikt nigdy, poza Parysem, nie rozmawiał ze mną wprost.

– Ta wojna, Hektorze, nie skończy się dopóki wasza duma nie nasyci się krwią tak bardzo, że rzeź stanie się cenniejsza niż powód, dla którego ją zaczęliście.

Miedzy nami zapadła cisza i przez moment jedynym dźwiękiem w komnacie było ciężkie i świszczące tchnienie zmęczonej piersi Hektora. Złapał się za lewy bok i z trudem podszedł do stołka, na którym siedziałam przed chwilą, a wcześniej przesiedziałam lata. Ku mojemu zdziwieniu, roześmiał się.

– Postanowiłaś zostać wyrocznią?

Nie rozpoznałam tego pytania, nie potrafiłam sformułować odpowiedzi. Wpatrywałam się w jego rozcięty policzek, który musiał powodować rozrywający ból przy śmiechu.

– Powiedz mi, czy uważasz, że chronię mój dom z żądzą krwi? Że każdego ranka ogarnia mnie pragnienie, by kilka godzin po śniadaniu zmywać z twarzy wnętrzości moich przyjaciół? I to wszystko tylko po to, by nakarmić moją dumę?

Powstrzymując jęk wywołany bólem wstał i podszedł blisko mnie. Jego smród zmieszał się z moim zapachem, zachciało mi się wymiotować. Ale czym? Hektor miał mi jeszcze wiele do powiedzenia.

– Mój brat sprowadził cię do tego miasta, mój ojciec otworzył wam bramy, ale ja, ja nigdy cię tu nie chciałem, nie chciałem tej wojny. Codziennie wkładam zbroję tylko dlatego, że beze mnie moi ludzie,

tam, na dole, zostaliby wyrżnięci jak stado owiec, a moja żona i ma-
lutki syn trafiliby do niewoli. Tak, może masz rację, walczę o krew,
bo ta krew płynie w żyłach moich i mojej rodziny.

Dziwnie poruszyło mnie to, co powiedział, ale milczałam. To coś,
co było w środku mojej głowy, nie znajdowało odpowiedniej reak-
cji. Widziałam, że tym złościę go coraz mocniej, że rzeczywiście
opanowała go żądza krwi, tym razem mojej. Chciał mnie zabić. Nie
wiedziałam, co bym zrobiła, gdyby spróbował. Milczenie doprowa-
dziło go do furii. Zdecydowanym krokiem podszedł do mnie i bru-
talnie chwycił za nadgarstek. Poza Parysem, nikt nigdy wcześniej
mnie nie dotykał. Hektor zamarł. Rozluźnił uścisk i przez moment
delikatnie trzymał palce w miejscu, w którym widoczne były małe,
podskórne przewody naśladowujące żyły. Na kilka sekund przeniósł
dłoń na moją szyję, a potem na klatkę piersiową. Wiedziałam, czego
szuka. Cisza, pustka.

– Kim jesteś? – zapytał, odsuwając się ode mnie.

– Jak to kim...

Próbowałam podtrzymać całe to przedstawienie, szukałam go-
towych zdań, wskazówek, cegół, co pomogłoby mi odpo-
wiedzieć Hektorowi. Widok jego przerażonej, zakrwawionej twarzy
wzbudził we mnie tak silne emocje, że miałam ochotę powiedzieć
mu prawdę, od początku do końca. Czy jednak miałam prawo to
zrobić po tylu latach rozlewu krwi?

– Wiesz przecież, kim jestem – powiedziałam, ale coś we mnie
zaczęło się psuć. Nie przemówiłam słodkim głosem Heleny. Tym
razem dźwięk, który wydobyłam z ust brzmiał raczej jak wiatr szu-
miący w koronach drzew.

Hektor uniósł swój miecz, podszedł do mnie i wbił go prosto w mój
brzuch. Zachwiałam się lekko, ale nie czułam bólu. Popatrzyłam na
kawał metalu wbity w moje wnętrze. Mężczyzna wyjął broń,
ale nie było na niej krwi, jedynie kropelki wody.

– Kim ty jesteś?

Zapłakał. Nie mogłam już dłużej ukrywać przed nim prawdy. Za-
kryłam dłonią ranę po szabli, wiedziałam, że za kilka chwil zniknie,
i przez moment zbierałam myśli. Zrobiłam krok w jego stronę.

– Nie ma tu żadnej Heleny, Hektorze – wyznałam cicho, zdając
sobie sprawę z tego, że moje słowa zaważą od tej chwili na wszyst-
kim.

– Prawdziwa córka Zeusa – kontynuowałam – nigdy nie postawiła
stopy na trojańskim statku. Siedzi w Egipcie i popija wino. Patrzy
na rzekę bezpieczna i nietknięta. Ja jestem Nefele, tak mnie nazwa-
no, i rzeczywiście tylko tym jestem, chmurą. Hera stworzyła mnie
na podobieństwo królowej Sparty z mgły i burzowych chmur, wło-
żyła we mnie głos, myśli, manieryzm Heleny. Ale ja nie jestem nią.

Hektor wpatrywał się we mnie bez słowa. Wiedziałam, że tym, co
mówię, zadaję mu rany głębsze niż te, których nabawił się walcząc.

– Giniecie za mgłą. Cały ten teatr dzieje się wokół pustki.

Poprawiłam suknię i odwróciłam się, nie mogłam patrzeć na tego
nieszczęśnika. Spodziewałam się krzyku, wyzwisk rzucanych
w moją stronę, przemocy. Tymczasem Hektor milczał. W lustrze
widziałam jego ciało, które do tej pory było napięte i gotowe do
działania, mimo obezwładniającego bólu. Teraz zwiotczało i brat
mojego kochanka zwałił się całym swoim ciężarem na ziemię.

Leżał tak długi czas, bez ruchu, bez słowa. Przeniosłam wzrok z jego ciała na moją twarz. Wciąż była idealna, kąciki ust w dalszym ciągu podnosiły się w delikatnym uśmiechu najpiękniejszej kobiety na świecie.

Do moich uszu znów dobiegł cichy, histeryczny śmiech. Nie rozumiałam tej reakcji, nikt mnie na nią nie przygotował.

– Czy powiesz innym? – zapytałam delikatnym, wzorcowym głosem.

Hektor zamilkł i podniósł się z ziemi. Podeszedł do mnie i stanął za moim plecami. Patrzyliśmy na siebie w lustrzanym odbiciu.

– Jeśli powiem im teraz, że jesteś tylko zjawą, że prawdziwa Helena jest bezpieczna i może przemieszczać się bez trudu, i tak mi nie uwierzą. Ja też bym nie uwierzył. Nazwą mnie tchórzem, niezdolnym do obrony własnego miasta, wycofującym się ze strachu z pola walki. Skazałaś nas na ten spektakl, kimkolwiek jesteś, będziemy więc dalej w nim grać. Rozlejemy jeszcze więcej krwi w imię tego nic, którym jesteś. Jedyne, co mi pozostało, to obowiązek walki za tych, którzy padli przede mną.

Wyszedł z komnaty powoli. Nigdy więcej się nie zobaczyliśmy.

Marta Wierzbicka – absolwentka filologii klasycznej i studiów literacko-artystycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Miłośniczka niepokojącej prozy, muzyki i starożytnej Grecji. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @realzagreus.

autorzy odwołują się do czułości
wzruszyć czytelnika!

mówi podmiot liryczny bohater

osoba płacząca

kamień

stół

wszystko już było

patrzę na moją lalkę barbie

zbladła

długie blond włosy dawno wyszły z mody
przysypane kurzem czy przeszłością zapomniane
plastikowe kosmyki ciężko jest obciąć

strzępy myśli

personifikacja

Marta Różycka – studentka. W wolnych chwilach szuka siebie. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @szkoda.rozz.

Na liryzm popkultu- ry

Marta Różycka

To, co bez znaczenia

Helena Pyżanowska

Kiedy myślę o niej, myślę o zapachu, który unosił się za nią, kiedy przechodziła obok, lub jaka piękna była, gdy mówiła do starego białego kota, który mieszkał na parterze. Ona – z piątego piętra, całe życie z piątego piętra tej samej kamienicy – nigdy nie miała kota, choć pamiętała, jak bardzo chciała go mieć, kiedy była dzieckiem. Później jednak przyszła dorosłość, mąż, rodzina, drobne gesty bez znaczenia i te drugie, ważniejsze, a czasem łatwo je pomylić, i przestała już myśleć o tym swoim dziecięcym marzeniu. W swojej głowie była osobą tak bardzo *bez kota*, że nie umiałaby chyba podjąć odpowiedzialności, jaka spływa na tego, kto nagle staje się osobą z *kotem*. Dlatego łatwiej jej było pozostać tą, za jaką uważała się przez całe życie – i w swoim kocim marzeniu ograniczała się tylko do zagadywania tego należącego do sąsiadki. Najpierw przemawiała do niego przy porannym spacerze po gazetę do kiosku i po dwie portugalskie lub marokańskie pomarańcze od pani z warzywniaka (obowiązkowo, od kiedy dziesięć lat wcześniej przestała palić, bo wtedy jeszcze wraz z gazetą kupowałyby też paczkę papierosów – ale przedstawiała się na pomarańcze, które kosztowały ją tyle samo lub nawet mniej, a i płuca stały się przecież dużo zdrowsze). Później znów przy wieczornym wyjściu, takim tylko na chwilę, bez żadnej potrzeby, raczej z przyzwyczajenia, żeby wypełnić swój rytuał powrotu do domu skądś, nieważne skąd. Mówiła mu: cześć, mały (nie znała jego imienia), a on zeskakiwał z okna wychodzącego na dziedziniec i podchodził do niej, ocierając się o jej stopy. Nie mogła się do niego schylić, była już za stara. Patrzyła więc tylko swoimi małymi oczami w jego wielkie: człowiek otwierający się ku kotu, oczami do serca, sercem do oczu, wspólna zależność i jednocześnie zupełna przecież osobność. Tak, jakby między nią a kotem ziściła się nareszcie cała

ta masa pragnień, które przez większość życia sprawiały, że nocą, zamiast spać, siadywała na balkonie i wypatrywała kogoś daleko pośród gwiazd. Teraz jednak minęło już tyle czasu, a ona po prostu była, i on po prostu był – oboje zbyt już starzy, by chcieć czegoś więcej, oboje pogodzeni, że tu zapewne umrą, on na parterze, ona na piątym piętrze, on przeżywszy leniwe życie białego kota, który nie musi nawet zawracać sobie głowy przynoszeniem nieszczęścia, ona, będąca pod koniec długiego życia, w którym po prostu kilka przypadków miało większe znaczenie niż inne. Ot, cała historia.

Nie znałam jej dobrze, ale to o niej myślałam, kiedy codziennie w południe z kościoła obok dobiegało bicie dzwonów, owijające okolicę niewidzialną nicią wspólnego słyszenia. Jeżeli byłam akurat w domu, przerywałam cokolwiek tylko robiłam, i stałam tak, czekając, aż ucichną. O niej też czasem myślałam, kiedy myłam naczynia i ciepła woda spływała po moich dłoniach. Przyglądałam się im, zastygła nagle w dziwnym odrętwieniu – szczególnie, kiedy pośród tego wszystkiego nagle odważałam się pomyśleć o tobie. Jak od niej myśli prowadziły mnie do ciebie, tego nie wiem. Być może w pewnym okresie życia wszystkie myśli musiały ostatecznie prowadzić mnie do ciebie, i, naturalnie, wybierały najróżniejsze szlaki. Grunt, że moje palce robiły się w końcu szorstkie od wody i wyżłobione wilgocią, jak skóra suszonych śliwek. Lub jakby należały do kogoś już bardzo starego. Zakręcałam kran i myślałam o tym, że wyglądają jak fale na morzu. Potem marszczyłam brwi, bo przypominał mi się dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ocean i jak wtedy zdziwiłam się, że tak inne są jego wody od tych Bałtyku. Marszczyłam brwi nie z ponownego zdziwienia tymi falami, tylko z powodu zaskoczenia własnymi myślami, znów prowadzącymi

mnie do tamtych dni portugalskiego słońca, kiedy ostatniego dnia naszej podróży wyruszyłam sama na brzeg, tuż koło portu: siedem i pół kilometra w jedną stronę i siedem i pół kilometra z powrotem. Marszczyłam je, zapewne, by się nie rozplakać – bo zdziwienie jest dużo łatwiejsze do zniesienia niż smutek.

Czasem mijałam ją, kiedy szłam do domu po całym dniu albo z zakupów, albo skądkolwiek akurat przyszło mi wracać. Stała na dziedzińcu, w tej jedynej plamie słońca, jaka padała w ciągu dnia na jego bruk, z białym kotem płaczącym się gdzieś między nogami. Stała, zawieszona pomiędzy pragnieniem dotknięcia kota a ograniczeniami swojego skrzypiącego ciała, z ciszą skapującą z wolna z jej rzęs, jak miód. Uśmiechałam się wtedy do niej, słodko i różanie, jakbym nieznacznie muskała jej policzek, wszystko, aby nie przerywać tego jej milczenia – a ona podnosiła dłoń i kiwała nią lekko w moją stronę, rozchylając tajemniczo usta. W tych rzadkich chwilach jej twarz stawała się bardziej młodzieńcza. Dlaczego ten jej gest – tak prosty, ale zarazem tak czuły i zarezerwowany jakby tylko dla mnie – przypominał mi, znów, o tobie, i o tym, jak modliliśmy się razem w kościołach do dobrej Matki Boga, tego także nie wiem. (Albo to ja się modliłam, a ty po prostu siedziałeś obok, to też jest możliwe). Ale myślę, że ona mogłaby odpowiedzieć nam takim właśnie gestem. Nie wiem też, dlaczego jej oczy zdawały się wtedy westchnieniem mówić mi: oj, dziecko, drogie dziecko..., a ja istotnie stawałam się dzieckiem, któremu wydaje się, że coś wie, kiedy prawdą jest, że nie wie zupełnie nic. I samym swoim spojrzeniem sprawiała, że coś we mnie kruszyło się jak fragmenty biało-niebieskiej mozaiki – i wybaczałam sobie twoje odejście. (Ale to też nie jest tak, bo choć to ty spakowałeś swoje rzeczy do jednej walizki, nie ja, i wyszedłeś

w noc, to przecież kto odszedł od kogo, a kto był pozostawiony, tego nie byłam już wcale pewna).

Kiedyś mi się przyśniła. Nie byłoby to niczym wyjątkowym, gdyby nie fakt, że jej skóra lśniła jak sierść białego kota. We śnie mówiła coś do mnie, ale nie udało mi się usłyszeć, co to było, choć tak się starałam. Potem, zorientowawszy się, że jej nie słyszę, zaczęła dotykać mnie swoimi palcami, jakby chciała mi coś przekazać – coś, co zrozumieć mogłam tylko poprzez ciało, a właściwie poprzez zewnętrzny ruch w wewnętrznym ciele. Muskała najpierw, płynnie i precyzyjnie, moją twarz, potem uszy, piersi, brzuch, uda – kręcąc powoli kółka na mojej skórze, gest tak ludzaco podobny twojemu, że niemalże poczułam rozkoszną radość, że wróciłeś, gdzie twoja walizka? Ale nie, to była ona, wciąż ta staruszka z piątego piętra, a ja powoli zdawałam sobie sprawę, że moja skóra staje się poprzez jej dotyk bardzo miękka, obwisła, sflaczała i zupełnie pomarszczona, jak stara pomarańcza. Moje ciało popadało w tkankową obcość mnie samej. Wszystko to trwało długo, bardzo długo, wydawało się, że tygodniami, miesiącami, aż w końcu dotarła do koniuszków palców u stóp – i wtedy się obudziłam. Namalowałam później o tym obraz, ale wydał mi się całkiem głupi i nieadekwatny, i poczułam złość, obce mi uczucie, złość chyba na samą siebie, że nie umiem wcale malować, po co więc w ogóle próbuję, i go porzuciłam. Chodziłam potem przez kilka dni całkiem otumaniona tym snem – myślałam o drzewach pomarańczowych, kotach wędrujących po ulicach Lizbony oraz drobnych gestach bez znaczenia. I o mężczyźnie z parasolką, w piękny słoneczny dzień krzyczącego na mewy, pamiętasz? Przypomniał mi się, zupełnie nagle. Opowiadałam ci o nim. Jak szedł wzdłuż portu, wygrażając coś białym pta-

kom i mamrocząc o kobiecie, która zniszczyła wszystko, bo pojawiła się w jego perfekcyjnie samotnym życiu, bo one zawsze zjawiają się nie w porę, bo przynoszą narodziny, krew i wodę, a potem radź sobie, człowieku, z całym tym rwetesem, z tą miłością, psiakrew. Skąd wiesz, co mówił, skoro nie rozumiesz portugalskiego? – spytałeś mnie wtedy. Nie trzeba rozumieć portugalskiego, by wiedzieć, co mówił, odpowiedziałam. Uśmiechnąłeś się.

Jakiś czas po moim śnie zobaczyłam ją znów, w bramie. Słońce odbijało się od okien i padało na jej twarz. Zmrużyłam oczy, starając się dostrzec białego kota zaplątanego gdzieś pośród cienia, ale nigdzie go nie było. Miała zamknięte oczy – i gdyby nie to, że stała, oparta o żeliwne pręty, można by pomyśleć, że nie żyje. Podeszłam bliżej, niemal przestałam oddychać, niby bojąc się ją spłoszyć, jakby była ptakiem lub sarną, lub kotem. Zobaczyłam ją wyraźnie: była niska, właściwie skurczona, lata i zimy opadały na jej ramiona. Dłonie trzymała splecione przed sobą, a jednym kciukiem gładziła wolno drugi – gest tak dobrze mi znany, sama wykonuję go często, szczególnie, kiedy odejdę gdzieś daleko i dobrze byłoby, abym powróciła. Stałam tak i patrzyłam na nią, nie mogąc oderwać od niej wzroku, a słońce na jej twarzy poruszało się, jakby drżały szyby okna. Zdawałam sobie sprawę, że ona doskonale wie, że tu jestem; ale to nie było wcale nasze spotkanie, nie moje i jej – było to spotkanie jej milczenia i mojego milczenia, czegoś w nas, co w tym właśnie momencie porozumiewało się ze sobą. Dotarło do mnie, że ona od dawna przeczuwała to wszystko – było to jednak bez znaczenia. Tak, to wszystko było bez najmniejszego znaczenia. Po chwili ja także zamknęłam oczy. Poczułam swój własny, spowolniony i urywany oddech, jak fale oceanu. Poczułam, jak drżą mi końce palców i jak

przewijają się pomiędzy nimi drobny wiatr marcowy, jak nanizają się na nie i płacze, gubiąc swój początek i koniec. Poczułam zapach, który przypominał mi o czymś odległym, o czymś, co odeszło, trochę jak sklep z owocami i deszcz spod rynny, i zmęczenie w nogach od tygodni wędrówki. Poczułam twój oddech przy moim ramieniu i twoją dłoń pod moim prawym uchem, wahającą się jednak. Poczułam w ustach słodki smak pomarańczy. Poczułam, że coś ociera się o moje nogi, powoli, z lubością, mruczając i domagając się pieszczoty.

Helena Pyżanowska – mieszka w Warszawie, choć większą część życia spędziła na wsi nad morzem, gdzie las zaglądał do okien, a latem mocno pachniały zioła. Absolwentka etnologii i antropologii kulturowej, animatorka kultury, współprowadzi podcast literacki *Zapatrzenie*. Zbiera sny. Można ją znaleźć na Instagramie: @jabloniesny.

Heterochromia

Anna Przysada

oczy dziewczynki
nie zawsze były
heterochromiczne

jedno z nich widziało więcej
kiedy drugie pocierała piąstką
wcierając w nie łzy i niebieską barwę

a na tamto nałożono warstwami
szary – popiół strzepany w popielniczkę

w obcym nikt nie rozpozna
jej twarzy na starym zdjęciu –
przed życiem jej oczy
były po prostu zielone

Anna Przysada (ur. 2001) – autorka prozy i poezji, słuchaczka studiów literacko-artystycznych na UJ. Uczestniczka *Pracowni przed debiutem prozą* realizowanej w ramach festiwalu Biura Literackiego TransPort Literacki. Publikowała m.in. w *Stronie Czynnej*, magazynie *Suburbia*, w *Szkicach* i *Kwintesencji*, gdzie również redaguje. Pracuje nad debiutanckim tomem opowiadań *Włos w zupie*. Mieszka we Wrocławiu.



Niewypowiedzialność

Zuza Nogal

balansuję
na granicy niewypowiedzialności i niedopowiedzenia, a
krawędzi jest wiele
bo przecież jest tyle rzeczy, które chciałabym ci
naprawdę powiedzieć
(chciałabym, ale nigdy nie powiem)
(choć lubię słowa)
(to zdrowo jest mówić, a nie →
(mówić kochać)

(więc)
lubie, kiedy –
(jak wtedy, ten (10)
(1)
raz)
(i lubie, że →
(gdy to robisz, gubię słowa i czas)

(oddycham)
(głęboko)
(w przeciwieństwie do mowy →
(dobrze jest)

(cię)
(→)

Zuza Nogal (2000) – mieszka i tworzy w Poznaniu. Na co dzień pracuje z językiem angielskim, prowadząc studio łamania bariery językowej. Tworzy również linoryty i chętnie porusza się na pograniczu różnych form eksperymentu. W poezji interesuje ją teatralność, przesada i miejsca, w których język zaczyna się zacinać lub wymykać własnym znaczeniom.

Tekst powstał w ramach projektu mentoringowego *Dziewczyny-maszyny dla początkujących osób piszących*.

Dziewczyny-maszyny to kreatywna grupa wspomagająca w pisaniu i publikacji tekstów. Raz na kilka miesięcy Dziewczyny-maszyny prowadzą nabór do programu mentorskiego dla osób podopiecznych i osób mentorskich. Celem mentoringu jest wsparcie osoby podopiecznej przez osobę mentorską oraz wzajemne czerpanie z wiedzy i doświadczeń. Relacja między osobą podopieczną i mentorską opiera się na zaufaniu, szacunku i chęci do współpracy.

Magazyn literacki *Składka* współpracuje z kolektywem Dziewczyny-maszyny od 2023 roku dając osobom autorskim przestrzeń do publikacji swoich tekstów. Więcej informacji znajdziesz na Instagramie na koncie @dziewczynymaszyny.



Redakcja: Krystian Furga, Klaudia Kołodziejczyk,
Sandra Moczulska, Marcin Salwin
Korekta: Oliwia Borowiec, Krystian Furga
Skład: Klaudia Kołodziejczyk, Sandra Moczulska
Projekt okładki: Marcin Salwin
Grafika na stronie 45: Monika Misiak (@mich.elle202)
Grafika na stronie 48: Kamila Tokarska (@podkasterka)

Magazyn Literacki Składka, Warszawa 2026
www.magazynskladka.pl

SKLADKA